

## Dzisiaj mija 25. rocznica tragicznych wydarzeń lubińskich



Alanek ma 3 latka. Swojego dziadka Andrzeja zna z cmentarza. Chodzi tam razem z babcią i śpiewa nad grobem piosenkę dla niego. Nam jednak zaśpiewać nie chce. Może dlatego, że babcia znów płacze? – Minęło ćwierć wieku, a ja nigdy nie przestałam tęsknić za mężem – mówi przez łzy Stanisława Trajkowska

EDYTA GOLISZ

**G**dy Andrzej Trajkowski, mechanik samochodowy pracujący w kopalni, zginął w czasie demonstracji Solidarności 31 sierpnia 1982 roku w Lubinie, pani Stanisława została z trójką małych dzieci. Pod sercem nosiła czwarte. – Andżela miała 7 lat, Monisia 6, Andrzejek 2, a z Dawidem byłam w ciąży, w czwartym miesiącu – mówi przyciszonym głosem kobieta.

Poznali się w latach 70. w Lubinie, na dancingu. Pani Stasia, ładna, drobna brunetka, pracowała w gastronomii. Andrzej był przystojny, wysoki, ciemnowłosy. Wzięli ślub, przeżyli

wspólnie osiem lat. – Kochaliśmy się, byliśmy zgodnym, dobrym małżeństwem. Nie czułam upływającego czasu przy boku męża – wspomina. Andrzej nie chciał, żeby Stasia pracowała. Nieźle zarabiał, brał fuchy, żeby tylko rodzinie ptasiego mleka nie zabrakło. Chciał, żeby żona o dom dbała, dzieci wychowywała. Cieszył się

z kolejnego malucha, który miał przyjść na świat. Był wielkim patriotą, takim z czynu, nie tylko ze słów, dlatego zapisał się do Solidarności. – We wtorek, 31 sierpnia, Andrzej wrócił z pracy koło godz. 15. Zjadł obiad i powiedział, że idzie na manifestację. Odradzałam: – Nie idź, różnie może tam być. A on odparł:

# Ulicami płynęła krew

– Jestem Polakiem i pójdę – wspomina pani Stasia. Synek Andrzejek zaczął płakać: – Tato, nie idź nigdzie! Andrzej Trajkowski powiedział ciepło do małego: – Tato niedługo wróci... To były jego ostatnie słowa do rodziny. Bo poszedł na zawsze.

Zabiła go kula z pistoletu milicjanta. Albo zomowca. Tego do dziś nie udało się ustalić. Był w tłumie ludzi, których nagle przerosła sytuacja, kiedy z granatowych nysiek zaczęły padać w stronę demonstrantów strzały z ostrej amunicji. Ci ludzie nie myśleli przecież o śmierci, kiedy ćwierć wieku temu zebrali się punktualnie o godz. 15.30 na lubińskim rynku. – Mieli dobre prace, rodziny, dzieci, mieszkania. Ale nie mieli tego, co w życiu najważniejsze: wolności. Chcieli decydować sami o własnym życiu. Dlatego tam przyszli – mówi Marek Zawadka, historyk. A przyszło ich dużo. Tak ze dwa tysiące. Jak nigdy, w kwestii akurat tej liczby zgadzają się ówczesne raporty – i Solidarności, i PZPR-u.

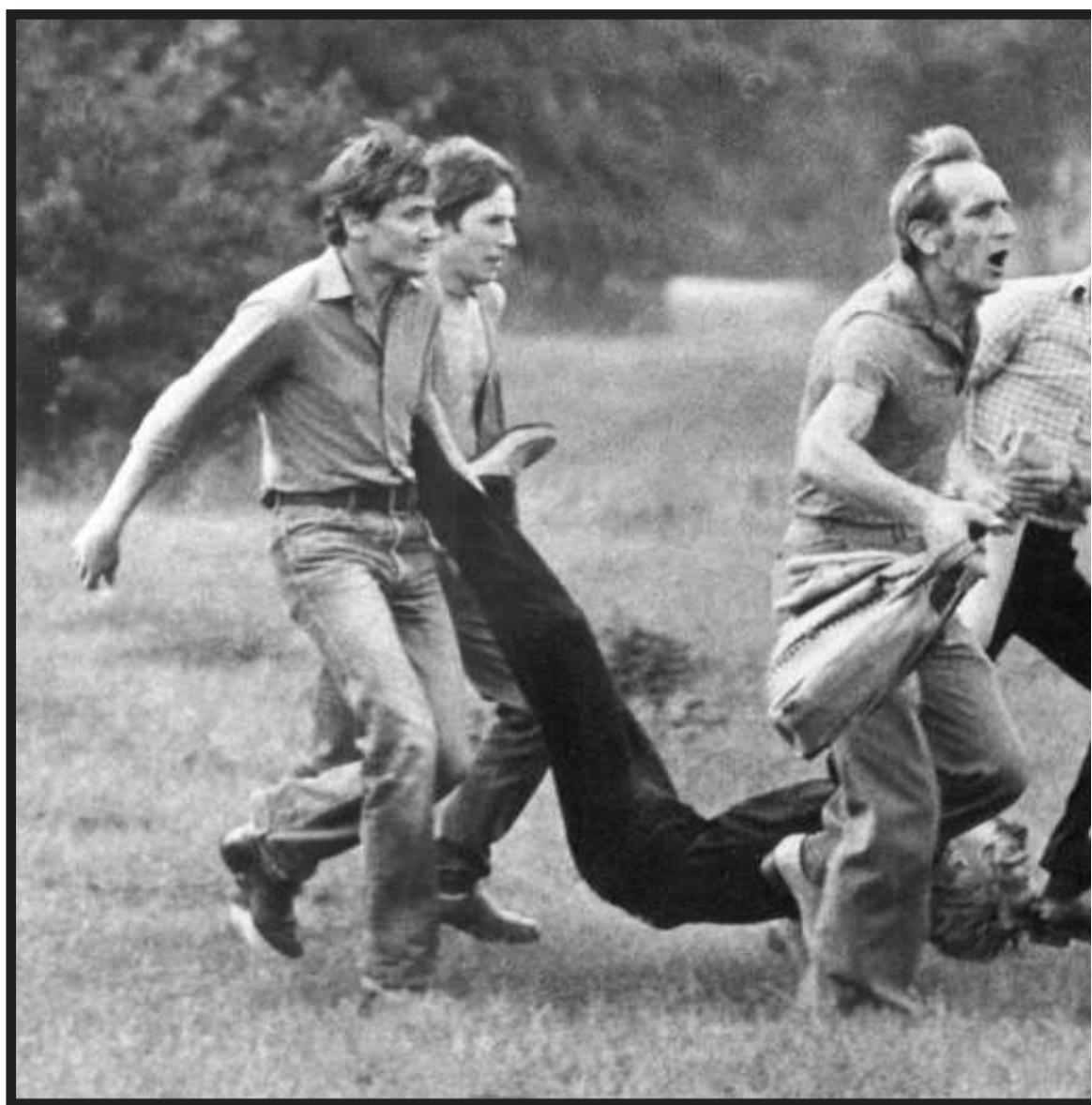
Jacek Swakoń miał w 1982 roku 19 lat. Był studentem drugiego roku Politechniki Wrocławskiej. Mieszkał we Wrocławiu w akademiku, ale rodzinny dom, gdzie byli rodzice i brat, miał w Lubinie. Należał do Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Smak słowa „demonstracja” zdążył poznać we Wrocławiu, gdy szedł razem z bratem 13 czerwca, dwa i pół miesiąca przed tragicznymi wydarzeniami w Lubinie, do wrocławskiej zajezdni MPK z kwiatami, żeby je złożyć pod wmurowaną tam tablicą Solidarności.

**CZYTAJ DALEJ ► 16-17**





Fot. 6.: Reprodukacja zdjęcia oznaczonego "61a"



**W**ładze związku poprosiły o przyście pocztą pantoflową, a że ta działała wtedy jak najlepszy kurier, do zajezdni szły dzikie tłumy. Wszyscy z kwiatami. Jacek i jego brat Wojtek trochę się spóźniali. Jacek miał w klapę marynarki wpięty opornik, takie maleńkie urządzenie od instalacji elektrycznych. Choć maleńkie, znaczenie wtedy miało wielkie. Kto miał przypięty opornik, wiadomo było, że jest oporny wobec komuny. I walczył o demokrację.

Więc Jacek z opornikiem w klapie, bratem i kwiatami szli do zajezdni. Przez spóźnienie na żadną demonstrację już się nie natknęli, za to mieli inne problemy, bo powietrze było aż gęste od gazu łzawiącego. Ale dzielnie szli. Aż na ulicy Pereca, niedaleko zajezdni, zobaczyli przed sobą patrol ZOMO. Taki niemały, miał chyba ze dwudziestu mundurowych. Zobaczyli, że Jacek ma wpięty opornik. Jeden z zomowców zapytał Jacka:

– A, to ty oporny jesteś? A Jacek odparł: – Ja jestem elektrykiem... Żart był bardzo nie na miejscu. – Zanim się zorientowałem, co się dzieje, już leżałem na chodniku. Kopali mnie tymi wielkimi buciorami. Bili pałami. Dostałem tak, że do dzisiaj o tym pamiętam, nie mam zresztą innego wyjścia. Plecy bołą mnie regularnie, mimo iż minęło ćwierć wieku – mówi Jacek Swakoń. Ale wtedy nie myślał o bolących plecach.

#### Leżał i był we krwi

Zdarzenia z Pereca tylko utwierdziły go w przekonaniu, że w tym kraju jest zupełnie nie tak, jak być powinno. Dlatego gdy dowiedział się, że na 31 sierpnia zaplanowana jest demonstracja w Lubinie, nie wahał się ani chwili. A dowiedział się tak, jak wszyscy. Z nielegalnych ulotek, od ojca, od kolegów.

Przyjechał na demonstrację do Lubina. Gdy razem z bratem i rodzicami wy-

chodził na nią we wtorek, nawet przez myśl mu nie przeszło, że ta chwila zmieni jego życie. Najpierw na długie miesiące w koszmar niepokoju i strasznych snów, bo po raz pierwszy zobaczył, jak ktoś zabija człowieka. A na zawsze we wspomnienie, o którym nigdy nie nauczył się spokojnie opowiadać.

Wspomina: – W rynku było strasznie dużo ludzi. Z rodzicami i bratem szybko się zgubiłem, bo spotkałem znajomych. Tłum śpiewał. Akurat śpiewaliśmy hymn Polski. Duży fiat, milicyjny, jeździł wkoło rynku i przez megafon milicjanci nawoływali do tego, żeby się rozejść, bo manifestacja jest nielegalna. Przez ten śpiew słabo było ich słyszać. Ludzie układali krzyż z przyniesionych kwiatów. Nadal śpiewali. Wtedy milicjanci zaczęli strzelać gazem łzawiącym. Po doświadczeniach z Wrocławia wiedziałem, że da się to przeżyć, więc nawet się nie przestraszyłem. Trochę zaniepokoiły mnie natomiast granaty z gazem. Ciężkie puszki, które nagle zaczęły latać między ludźmi. Prerażony tłum się rozproszył. Ja z kolegami uciekliśmy między pobliskie bloki. Po chwili wyszliśmy stamtąd na ulicę Odrodzenia. W pewnej chwili zastanowiły nas inne odgłosy strzałów niż do tej pory, ale przecież wiedzieliśmy na sto procent, że milicja i ZOMO strzelają ślepałkami. Dlatego nie ruszyło nas nawet to, że dwóch zomowców celuje w naszą stronę. Nagle podbiegł do nas jakiś mężczyzna, krzyczał, że oni walą z ostrej broni, żebyśmy natychmiast uciekali. A z ziemi, tuż koło nas, podniósł łuskę od ostrej amunicji... To już nie były żarty. Zaczęliśmy biec w kierunku pijalni piwa Gwarek. Pod pijalnią były wielkie plamy krwi. Ludzie nieśli jakichś dwóch, bezwładnych mężczyzn w stronę drogi. Potem wsadzili ich do jakiegoś żuka...

Z prokuratorskiego przesłuchania świadka, Heleny M., z dnia 31 sier-

pnia 1982 roku, z godziny 21.10: „Dziś udałam się służbowo do Legnicy po części zamiennie. Jechałam jako kierowca samochodem marki Żuk blaszany (...). Jechałam sama. Po pobraniu części zamiennych wracałam (...). Przyjechałam do Lubina i chciałam udać się na ul. Odrodzenia. Do ulicy tej jednak nie dojechałam. Stał tam znak – „zakaz ruchu”. (...) Zatrzymałam samochód w pobliżu pijalni piwa. Widziałam, że na całym skrzyżowaniu było pełno ludzi (...). Ci ludzie stali i patrzyli w kierunku rynku. W moim samochodzie grało radio i dokładnie nie słyszałam, co się dzieje na zewnątrz. (...) Po zatrzymaniu samochodu wyłączyłam radio, a po chwili zobaczyłam, że ci ludzie zaczynają wszyscy uciekać w kierunku osiedla Przylesie. Ja z samochodu nie zdążyłam wysiąść. Usłyszałam strzały, było ich dużo i o różnych odgłosach. Wyglądało to tak, jakby było naraz strzelane w różnych kierunkach (...). Milicjanci strzelali z karabinów (...). Niektórzy z tych funkcjonariuszy strzelali w powietrze, gdyż widziałam, że lufy karabinów były podniesione do góry. Inni natomiast strzelali w różnych kierunkach (...). Ludzie w tym czasie uciekali (...). Nagle jeden z biegnących mężczyzn przewrócił się przed moim samochodem. Prawie równocześnie zobaczyłam, jak drugi mężczyzna pada na chodnik, również obok mojego samochodu (...). Kiedy ten pierwszy mężczyzna padał, myślałam, że on może się potknąć i przewrócić. Patrząc na tego drugiego padającego mężczyznę, już kiedy on upadł, zobaczyłam, że na lewym policzku ma on dziurę taką jak palec, z której leci jakby fontanna krwi. Ci ludzie, którzy biegli, zatrzymywali się, wracali i zaczęli krzyczeć, żeby brać tych mężczyzn



Fot. 1.: Reprodukacja zdjęcia oznaczonego "17".



: Fotograficzne powiększenie ze zdjęcia oznaczonego

do szpitala. Zrobiło się zamieszanie. Obskoczono mnie. Otworzyli drzwi do mojego samochodu i kazali mi jechać do szpitala. Ja powiedziałam, no to pomóżcie mi. Ludzie włożyli mężczyznę,

który przewrócił się pierwszy. Ludzie krzyczeli: jego bracie, bo on jeszcze żyje, a ten drugi już nie żyje... Tego drugiego włożono do samochodu tylnymi drzwiami. Do samochodu wsiadło dwóch męż-





Najsłynniejsze zdjęcie z tragedii w Lubinie. Koledzy niosą śmiertelnie rannego Michała Adamowicza

FOT. KRZYSZTOF RACZKOWSKI



ZDJĘCIA ARCHIWALNE Z AKT PROKURATORSKICH

czyn i jedna kobieta (...). Ta kobieta krzyczała, żeby jechać szybciej. Podjechałam pod same drzwi szpitala. (...) Pomagałam im zanieść do środka mężczyzn (...). Następnie udałam się do domu. Dodam jeszcze, że we Polkowicach w czasie mycia samochodu, bo był cały w krwi, znalazłam but męski, sztruksowy koloru brązowego oraz okulary zostały w samochodzie, są tam nadal. To wszystko, co mam do zeznania (...)"

#### Polowanie na ludzi

Jacek Swakoń: – I jak ten żuk zabrał tych dwóch mężczyzn, to na widok płam od krwi dostałem jakichś dreszczy. Manifestacji już nie było, tylko przerażeni ludzie, którzy próbowali uciekać, a nie wiedzieli jak, bo milicyjne nyski jeździły wkoło, odcinając drogę. W nyskach widać było strzelców. Urządzili sobie polowanie. Celowali do losowo wybranych ludzi. Biegłem na tereny zielone w centrum miasta, bałem się. Było ze mną kilkanaście osób. Moi koledzy i ludzie, których nie znałem. Ja wbiegłem w dolinę płynącej tamtędy rzeczki. Reszta biegła przez mostek nad rzeką. Widziałem, jak z milicyjnej nyski zomwiec mierzył w ich stronę. Zobaczyłem nagle, jak jeden z mężczyzn przebiegających przez mostek upada. Pomyślałem, że się potknął. Chwilę potem dotarło do mnie, że tam nie ma się przecież o co potknąć. Podbiegłem do niego. Leżał twarzą do ziemi, z głowy lała mu się krew. Zacząłem biec w kierunku ulicy, żeby zatrzymać jakiś samochód. Najechał maluch. Kierowca zjechał, ale już kilku mężczyzn biegło, niosąc tego rannego. Wsadzili go do dużego fiata, ten fiat zawiózł go do szpitala. Pobiegłem do parku. Leżałem na ławce. Nie wiem, jak długo. Coś dziwnego się ze mną działo. Następne miesiące przeżyłem pod znakiem koszmarnych snów i strachu.

Ten, do którego Jacek Swakoń podbiegł na mostku, to był Michał Adamowicz, górnik. Miał 28 lat. Miał żonę

i dwoje małych dzieci. Jak większość górników, odpowiedział na apel podziemnej Solidarności, by w drugą rocznicę Sierpnia ułożyć na lubińskim rynku krzyż z kwiatów. Wanda Adamowicz bardzo chciała iść tam z mężem, ale nie poszła, bo bolały ją zęby.

Ostatni raz widziała męża 31 sierpnia, gdy wychodził rano do pracy. Kiedy wyjeżdżał o godz. 14 z kopalni, miał dobry humor i żartował: – Idę z komunistami powalczyć...

Z notatki oficera dyżurnego KW MO w Legnicy. 31.08.1982:

**15.40:** „W Lubinie na rynku zebrało się około 200 osób, które w grupkach oczekują na sygnał. Około godziny 15.50 tłum ten urosł do około 2000 ludzi, którzy zaczęli śpiewać hymn Solidarności, wznosili okrzyki „Niech żyje Lech”. Komendant miejski podjął decyzję o rozproszeniu tłumy”.

**16.20:** „Lubin – użyci do rozpraszania tłumy funkcjonariusze KM MO Lubin i delegowani funkcjonariusze ZOMO zostali otoczeni przez tłum. W ich kierunku posypały się kamienie i butelki z płonącej benzyną”.

**16.30:** „Otoczeni funkcjonariusze na rynku Lubina użyli broni, oddając strzały w górę”.

**16.45:** „Dyżurny KM MO Lubin powiadomił mnie, że 2 osoby zostały ranne, są to mężczyźni. Jeden otrzymał postrzał brzucha, drugi natomiast postrzał głowy”.

**17.40:** „Komendant miejski MO w Lubinie (...) powiadomił, że przywiezieni do szpitala mężczyźni zmarli. Nie był w stanie podać ich nazwisk”.

To byli Mieczysław Poźniak, kawaler, i Andrzej Trajkowski, mąż pani Stanisławy. Leżał już w kostnicy, gdy do pani Stasi przysłała pod wieczór sąsiadka i powiedziała, że są śmiertelne ofiary demonstracji. Pani Stasia zmartwiła się o męża, ale w najgorszych nawet myślach nie przypuszczała, że nie żyje. Gdy wybiła godzina milicyjna, wyszła na balkon i zastanawiała się, jak Andrzej teraz do domu wróci. O 5 rano, nieprzytomna z niepokojem, zostawiła dzieci same i poleciała do miasta, przed siebie, żeby się czegoś dowiedzieć. Na milicji niczego nie ustaliła. Dobrzy ludzie powiedzieli jej, żeby poszła do szpitala. Tam usłyszała wiadomość, która na zawsze zniszczyła jej życie. – Nigdy nie pogodziłam się z tym. Z nikim innym się nie związałam. Sama wychowałam czwórkę dzieci. Było mi strasznie ciężko. A Bóg chyba o mnie całkiem zapomniał. Jakby mało było nieszczęść, półtora roku temu, po długiej chorobie, umarła Monisia, nasza córka. Miała 29 lat – mówi przez łzy.

Michał Adamowicz, postrzelony jako ostatni, w szpitalu żył jeszcze trzy dni. Pani Wanda dotarła do niego przez piwnicę, bo szpital był obstawiony przez milicję. Jej mąż nie ruszał się, z dziury w głowie sączyła mu się krew. Lekarz mówił wprawdzie, że on już właściwie nie żyje, ale musi go jak najdłużej przy życiu utrzymywać. Tak mu kazała milicja, żeby nie psuł im statystyk ofiar...

Świat szybko usłyszał o zbrodni. Dwa tygodnie później prestiżowy brytyjski dziennik „The Times” napisał: „Gaz łzawiący, koktajle Mołotowa i po-

ciski znaczyły drugie narodziny Solidarności. (...) W Lubinie siły rządowe, strzelając do robotników, zabiły trzech z nich, raniąc dwunastu”.

Na ulice Lubina dzień po zbrodni wyszło 10 tysięcy rozwścieczonych ludzi. Zorganizowali potężną demonstrację. Przez kilka następnych dni ludzie wychodzili na ulice w Polkowicach, Głogowie, Legnicy. Na znak jedności z ofiarami z Lubina. Funkcjonariusze nie odważyli się więcej użyć ostrej amunicji.

Gdy jednym zaważyło się życie, inni mieli na głowie „poważniejszy” kłopot. Zbrodni lubińskiej nigdy do końca nie wyjaśniono. Po demonstracji milicja i ZOMO natychmiast przystąpiły do zacierania jej niewygodnych śladów. Nikt nie zabezpieczył broni, z której strzelano. Tę, którą zdołał przejąć prokurator wojskowy, zwrócono funkcjonariuszom. A rozliczono ich z pobranej amunicji dopiero kilka tygodni później. Badanie użytej broni, i to tylko kilku egzemplarzy, przeprowadzono dopiero cztery miesiące później. A dla utrudnienia i tak już niełatwej po takim czasie identyfikacji broń najpierw przestrzelono. A w połowie lat 80. wyeksportowano ją do Algierii, żeby ślad na zawsze zagał.

W efekcie za tę zbrodnię osądzono tylko trzy osoby. I to dopiero niedawno. Pierwsze śledztwo w sprawie śmierci demonstrantów zostało umorzone w 1983 roku. Ponowne ruszyło dopiero 10 lat po wydarzeniach lubińskich. Zakończyło się aktem oskarżenia przeciwko siedmiu osobom. Jednak przeciwko czterem z nich zarzuty zdążyły

się przedawnić. W efekcie w czasie procesu, który odbywał się w Sądzie Okręgowym we Wrocławiu, na ławie oskarżonych zasiadły trzy osoby: Bogdan G., ówczesny zastępca komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Legnicy, Jan M., były zastępca komendanta rejonowego MO w Lubinie, i Tadeusz J., dowódca plutonu ZOMO. Pierwsze wyroki zapadły 10 lat po rozpoczęciu procesu. Wznawiano go aż cztery razy. Oskarżeni twierdzili, że są niewinni, że wykonywali tylko polecenia swoich przełożonych. Akta sprawy rosły, przesłuchano kilkaset osób. W końcu sąd skazał prawomocnymi wyrokami Bogdana B. na rok i trzy miesiące więzienia, Tadeusza J. na dwa i pół roku pozbawienia wolności. Jana M. dopiero 17 lipca tego roku skazano na trzy i pół roku więzienia. Ten ostatni wyrok ciągle nie jest prawomocny. A niejasności wciąż wiele. Nadal nie wiadomo np., kto strzelał do demonstrantów. – Czy dzięki wyrokom poczułam jakąś ulgę? – powtórza pytanie Stanisława Trajkowska, która jeździła na wszystkie procesy. – Pewnie tak, bo wiem, kto w pewnym sensie odpowiada za śmierć mojego męża, a myślałam, że nigdy się nie dowiem. Tylko czy to coś zmienia?

**Dziękujemy za pomoc w realizacji reportażu Wojciechowi Obremskiemu z zarządu regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ Solidarność i Markowi Zawadce, dyrektorowi CK Muza w Lubinie.**

**O WYDARZENIACH SIERPNIOWYCH CZYTAJ TEŻ ► 19**